



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



fol. K. Kulwied.

WYDMY NAD NIEMNEM POD WSIA MIZERAMI (KOŁO DRUSKIENIK), POW. SEJNEŃSKI.

R. Mienicki.

## Z przeszłości województwa połockiego. <sup>1)</sup>

Na podobieństwo starych rodów, mających tradycje świetne, wspomnienia pełne chwały i teraźniejszość, zasnętą pajęczyną szarzyzny i troski, spowitą w mrok upadku i niedoli, na podobieństwo starych, ongi wspaniałych rezydencji, gdzie tyle było życia, wesela, ostentacji, przepychu, barw i blasku, a dziś tylko pustka, tylko ruina, tylko czarne otwory, gdzie były drzwi i okna, na kształt oczodołów trupiej czaszki, ponuro patrzą, gdzie wiatr wpada i świszczce i wyje przeraźliwe, a gdzie się odbywa posępny mieszkanię miejsc opuszczonych — puszczek, lub przykrem echem odbija się o mury krakanie kruka czarnego, na to podobieństwo — dzisiejsza egzystencja niejednego miasta i ziemi dawnej Rzeczypospolitej — sięga czasów prastarych, a dziś w upadku, ze smutnem piętnem zniszczenia wlecze żywot ciężki i marny.

Takie cechy nosi na Rusi Białej Połock wraz ze swą ziemią.

Ta pofalowana kraina, dziś jeszcze w znacznym stopniu porośnięta lasem, pocięta rzeczulkami, ozdobiona ogromną ilością jezior, rozłożona po obu stronach rzeki, zwanej ongi Erydanem i Rubonem, Tanaisem i Chezyne, Turuntem i Weną, dziś — Dźwiną, jest historyczna od tysiąca przeszło lat. Kierowała nią drapieżna ręka waraska, była dziedzictwem Rurykowiczów, stała się zdobyczą litewską i jedną z części składowych organizmu polsko-litewsko-ruskiego państwa.

Od tej chwili w Połoczyźnie rządy sprawują namiestnicy, zwani inaczej starostami, od r. zaś 1500 księstwo połockie przeobraża się w województwo, namiestnicy w wojewodów, zasiadających w senacie; szanuje się jednak tradycję obioru wojewody. Dawniej przeprowadzał taki obiór wiec, teraz będzie go dokonywał sejmik. Z biegiem czasu urobi się cała hierarchia ziemską, począwszy od kasztelana i marszałka, kończąc na „opatrzny” woźnym; pojawi się nawet urząd gdzieindziej bodaj nieznany — leśniczego. Po miastach rozpowszechni się prawo magdeburskie, wprowadzone do samego Połocka już w r. 1498.

Jako placówka kresowa województwo połockie nie miało dobrych warunków dla rozwoju kulturalnego. Najprzód walki z Moskwą krwią skrapiały wciąż obficie tę ziemię, zmuszając jej mieszkańców nieraz do syzyfowych wysiłków. Moskwa parła ustawicznie ku zagarnięciu

Rusi Litewskiej, na województwie więc połockiem odbijała się ta ekspansywna jej polityka w sposób rujnujący, wojsko nieprzyjacielskie rozlewało się raz po raz nad Dźwiną i harcowało aż pod wałami samego Połocka. Gdy w r. 1518 siły moskiewskie przy pomocy Pskowa i Nowogrodu oblały Połock, głód tylko zmusił je do poniechania napaści; lepiej się im powiodło w roku następnym, aczkolwiek z połowicznym skutkiem: sukces głównie polegał na splądrowaniu przedmieść.

Zresztą światło cywilizacji, promieniejące z dzielnic czysto polskich, padało tu kończynami rozproszonych smug: były to ziemie kresowe — „ukrainne”. Już w pierwszej połowie XVI w. uświadamiano sobie w Rzpltej potrzebę opisu jak najdokładniejszego ziem poszczególnych; potrzeba ta wyływała z wymagań polityki zewnętrznej: krańce ruskie należało wzmacniać, należało mnożyć tu siły wojenne, a stopień ich podniesienia trzeba było uzależnić od sił lokalnych — liczby ludzi i zamożności mieszkańców. Następnie, rozwijała się gospodarka państwowa, utworzono urząd podkomorski, zredukowano obszary pozbawione właścicieli. Wreszcie i wpływ gospodarki znieawidzonej Bony na kresach zaznaczył się dodatnio.

Dzięki takim opisom mamy pojęcie, jak wyglądał zamek połocki w połowie XVI w., wznosząc się na dużym wzgórzu pomiędzy Dźwiną a Połotą, zbudowany z ogromnych belek sosnowych, otoczony pięciu ścianami z 9 wieżami. Przez Połotę i Dźwinę wiodły do zamku mosty zwodzone; za ścianami tuliło się do zamkowego budynku przeszło 200 domów. Nocą chodziła specjalna straż, dając znak czujności wołaniem i trąbieniem; tacy mieszczanie tytułem wynagrodzenia za stróżowanie pobierali za przejazd przez Dźwinę opłatę, od której nikt wolny być nie mógł. 16 dział i 4 moździerzyczerzyły swe paszcze szpizowe, jako broń przeciw wrogom chowano 5 serpentyn, kilkadziesiąt hakownic, 50 kilka pudów prochu i t. d.; ośmiu puszkarzów zamkowych trudniło się robieniem prochu i suszeniem starego; pochodzili oni z miejscowych mieszczan, których liczono tu przeszło 1500. Szlachta województwa połockiego dawała na służbę wojenną 320 koni.

Tu, jak wogóle wszędzie naówczas na Litwie i Rusi, oddziaływały trzy czynniki, przekształca-



jące miejscowy żywiol z materyału surowego na żywiol europejski: katolicyzm, prawo państwowe i prawo magdeburskie.

Pod rządami Rzpltej województwo to nabrało wciąż, aczkolwiek powoli, lepszego wyglądu i wzmacniało punkty obronne, które mogły stwarzać walną przeszkodę w ponawianych atakach sąsiedniej Moskwy. W fortyfikowaniu naddziwińskiej krainy w w. XVI ścigał się Iwan z ostatnim Jagiellonem; dzięki Groźnemu kniaziowi wzmacniała się ona takimi warowniami, jak Dżisna, jak Lepel, czerniejący na wyspie jeziornej, Woronecz, spozierający z wysokich, stromych wzgórz, u stóp których z jednej strony — wydłużone jezioro, z drugiej — rzeczka zwana Uszaczą. Wznoszeniu fortec, zwłaszcza mniejszych, sprzyjały tu właściwości terenu: ogromna ilość wzgórz i wody.

Król Zygmunt August, wystawiwszy zamek czasznicki przy złączeniu się rzeczek Uły z Leplem, zapragnął wznieść drugi przy ujściu Uły do Dżwiny. Dla zrealizowania powyższego planu zamówiono nawet jakiegoś architekta z Włoch, ale się gdzieś zawieruszył, a zresztą i Moskwa przeszkadzała.

Kiedy car Iwan zagarnął Połoczczyznę, zaroilo się tutaj od fortec: rozrzucił je car nad Dryszą, Uświątą, Obolem, Połotą, Turowlą, rozsiał nad brzegami jezior; stanął więc Sokół z Nieszczerdą, urosły Sitna i Uświat, Turowla i Susza. Suszę otaczał dokoła pierścień wodny, tu miały się koncentrować siły Iwana i stąd lecieć zabójcze pociski na Litwę; tu miała być podstawa dla działań wojennych, tu osiadła silna załoga. Analogiczne znaczenie nadawano innemu też zamkowi, przezwanemu Krasnem. 16 lat rządów Iwana zapisały się w dziejach ziemi połockiej jako okres przejść okropnych i bezlitosnego zmagania. W końcu lutego r. 1563 wdarły się do miasta stolecznego rozszalałe tłumy żołdactwa, natychmiast szlachta i kupcy ujrzeni się zrabowanymi, zwycięzca stawał się niepodzielnym panem wszystkich i wszystkiego. Długim sznurem ruszyły sanie w kierunku Moskwy z wziętymi do niewoli: połockim wojewodą, władką, szlachtą, urzędnikami Rzpltej i mieszczanami. Na rozkaz wydany wysypały się masy z dragami, siekierami i ruszyły burzyć kościoły. Łoskot narzędzi zlewał się z okrutnym lamentem, napelniającym całe miasto: to żydzi zawadzili rozpaczliwie. Nastął dla nich moment straszliwy: groźny car kazał przyjmować chrzest, kto się opierał, tego żołdactwo rzucało bezlitośnie do Dżwiny. Próżne były próby wydarcia Połocka z rąk Iwana, który się ozdobił na-

wet tytułem „księcia połockiego“: godzina powrotu Połoczczyzny do Polski miała wybić dopiero za lat kilkanaście. Tymczasem ludność szalała z trwogi i rozpaczy, żarta morową zarazą; widziano dyabłów, jak nawet w biały dzień pędzili końmi po całej ziemi połockiej, jak sieli zarazę i kładli pokotem całe masy; widziano nieboszczyków, jak napół zepsuci, straszni, okropni wylazili z mogił i bili żyjących... Człowiek, wlokący z przerażeniem żywot wśród trupów, oddychający zanieczyszczonym trupią zgnilizną powietrzem, tracił wszelkie poczucie rzeczywistości, w innym człowieku upatrywał nieboszczyka, przestawał wierzyć w swoją egzystencję, nic nie rozumiał, niczego nie pragnął, w nic nie wierzył i niczego nie widział, prócz okropności i miazdzącego go strachu. Podłoże ku temu było wyśmienite: kulturalniejszy żywiol wciąż emigrował, rozpościerało się z dniem każdym coraz szerzej panowanie ciemnoty, lud grzązł w najpotworniejszych zabobonach, w najgrubszym nieuctwie, w najprymitywniejszej moralności (kwitło tu wielożeństwo); tak być musiało, skoro brakło rozsadników oświaty i umoralnienia — kościołów. Gdy odbierano Połoczczyznę z rąk moskiewskich, doliczono się za ledwo 7 katolickich polskich domów i 3 probostw. Z ciemnotą i rozpustą szła w parze nędza materyalna. Tylko Połock odbijał się, niby plama jaskrawa na szarem tle: car Iwan, oceniając jego strategiczne znaczenie, jako fortecy nadgranicznej i naddziwińskiej, i znaczenie handlowe, starał się wyzyskać naturalne położenie miasta i wzmacnić je fortyfikacjami, nagromadzeniem żywności i amunicji, uczynić zeń istotnie pierwszorzędną twierdzę. Na niej też nasamprzód zawisła uwaga Batorego, gdy się gotował do rewindykacji Inflant i ziemi ruskiej, za Zygmunta Augusta utraczonej. Batory postanowił nasamprzód uderzyć na Połock i zdobywszy go zapewnić dla siebie na wszelki wypadek łatwiejszy odwrót, w razie potrzeby i pomoc, gdy ruszy w ziemie nieprzyjacielskie. Mniemał król, iż mając tu oparcie potrafi nieść sukurs Litwie i Inflantom, gdy zajdzie konieczność; widział, że Połock—to klucz do władania Dżwiną, zarazem cios dla Moskwy, gdy w polskich jest rękach: jakże rzuci posiłki opanowywanym przez się warowniom inflanckim? jak uniemożliwi handel Rydze i Wilnu? O ile utrata Połocka wstrząsnęła boleśnie umysłami Polaków, o tyle żyło w nich ciągle pragnienie odzyskania tego grodu i ziemi wyrwanej z obszaru Rzpltej. Batory uwzględnił i ten moment natury psychologicznej i pomimo odmiennych rad i dowodzeń postanowił przede-

wszystkiem skierować ostrze oręża przeciw Połockowi. Tu kroczyły szyki wymienionej piechoty, uzbrojonej w same tylko strzelby, cwałowali jeźdźcy zakuci w stalowe pancerze, nad czolami ich ogorzałymi połyskiwały szyszaki, każdy miał pałasz i włócznię, a u siodła widniała para pistoletów; byli tu Polacy, Litwini i Węgrzy, prowadzeni przez dwu Radziwiłłów (Mikołaja

i Krzysztofa) i Kacpra Bekiesza; uczestniczyli i obaj senatorowie połoccy — Mikołaj Dorohostajski i Jerzy Zenowicz. Po przejściu Dźwiny armia z trudnością posuwała się: teren na przestrzeni mil kilku, od Dżisny do Połocka, najeżył się krzakami jałowca i olszyny, porosły tu brzozy, sośnina i świerki, trzeba było z siekierą w rękę torować drogę.

C. D. N.

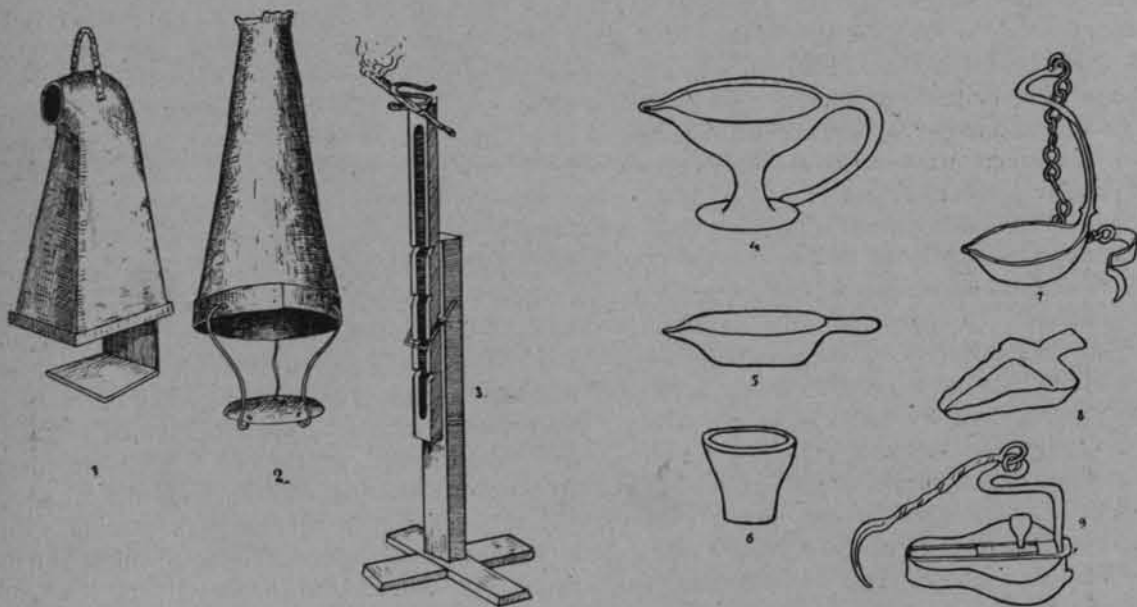


Eugeniusz Frankowski.

## Jak lud nasz oświetlał chaty.

Ubiegłego roku, podczas wycieczki na Polesie Wołyńskie, we wsi Snowidowiczach pow. owruckiego w chacie jednego wieśniaka widziałem starodawny kominek do świecenia, zwany u ludu poleskiego: „świeczak”. Ciekawy ten zabytek przeszłości, który zachował się dziś

w użyciu jedynie w zapadłych, głuchych zakątkach Polesia i Ukrainy, był w powszechnym użyciu i w innych dzielnicach Polski aż do 1860—70 r., czyli do czasu, dopóki tania lampa naftowa nie wyrugowała innych ciekawych środków oświetlenia.



1. Kominek do świecenia z Cholerzyna, pow. krakowski.
2. „Świeczak” z Sokolowa, pow. kolbuszowski.
3. „Stojak” z Janowic, pow. bialski.

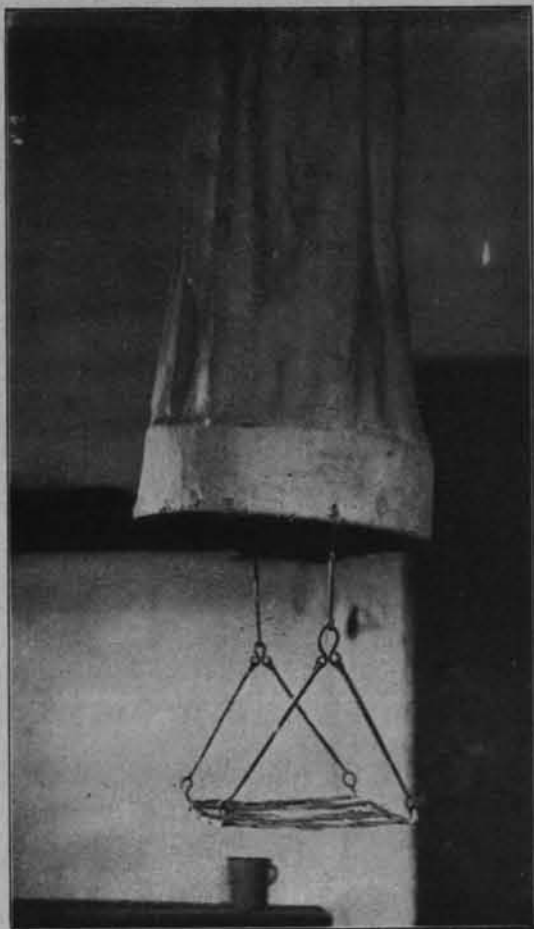
1—6 rys. E. Frankowski  
7—9 rys. S. Witkiewicz.

Kaganki: 4 — gliniany z Osielca, pow. myślenicki, 5/6—z Krakowskiego, 7—z Gubałówki z Podhala, 8—z Chochołowa, 9 — górniczy z Ratułowa.

Postaram się tu opisać kilka takich zabytków, przechowywanych w nowym muzeum etnograficznym w Krakowie, a zebranych przez p. Seweryna Udzię, jak również przytoczyć nieliczne bardzo wzmianki w literaturze o dawnych sposobach świecenia w izbach włościańskich w Polsce.

Jednym z najdawniejszych i najpierwotniejszych sposobów oświetlenia izby było zapalone smolne łuczywo, wetknięte w szparę w piecu, specjalnie do tego zrobioną. Podobny sposób opisuje Matlakowski w swym dziele o Podhalu: „w narożniku biegacza (pieca) była mała wnęka z kanalikiem; wieczorem we wnękę kładziono zapaloną karkoskę, t. j. łuczywo, drzazgę, jak mówią na Mazurach; najlepsze karkoski były cisowe, to też dla tego ich przymiotu wytrąpiono cisę po lasach. Cisowa karkoska płonęła jasno, a wydawała miłą woń żywiczną; a gdy na świecie wyla dujawica, biła siekawica w szyby, hulawa kurniawa po wirchach, góral, zawarłszy drzwi w blasku łuczywa siedział z rodziną, gwarzył i czekał cierpliwie wiosny“. W Galicyi we wsi Janowicach w pow. bielskim używano „stojaka“<sup>1)</sup>, przyrządu służącego do przytrzymywania palącego się łuczywa (rys. 3). Przyrząd ten, wysokości 1 $\frac{1}{2}$  metra, składał się ze słupka umocowanego na krzyżaku; do słupka przylegał drugi słupek ząbiony i ruchomy. Na szczycie jego była przymocowana esowato wygięta blacha, w której zagięcie wkładano palące się łuczywo. Stojak można było przenosić z miejsca na miejsce, podnosić i opuszczać w miarę potrzeby, gdyż zęby ruchomego słupka znajdowały oparcie na klamrze żelaznej, przymocowanej do słupka na krzyżaku. W Cholezynie, w pow. krakowskim, używano do świecenia kominka (rys. 1), przywieszzonego na grubym sznurze do tragarza. Kominek taki zbudowany był w ten sposób, że do czterech rogów ramy drewnianej przymocowywano cztery pątyki, które służyły oparciem dla słomianych powróseł, wypełniających cztery ściany. Zaokrąglony szczyt kominka kończył się bocznym wylotem, obramowanym blachą żelazną.

Do dolnej ramy oblepionego gliną i pobielonego kominka przybijano półeczkę, na której na kamieniu lub blasze rozkładano palące się łuczywo. Przy stosowaniu obu niżej opisanych przyrządów dym rozchodził się po izbie mieszkalnej. W Sokolowie, w pow. kolbuszowskim, uży-



fot E. Frankowski. „ŚWIETACZ“ ZE WSI SNOWIDOWICZ, POW. OWRUCKI.

wano kominka skonstruowanego trochę odmiennie (rys. 2).

Do drewnianej obwódki ze starego sita, zwanego w tych okolicach „obiecajem“, przybijano zwykły długi worek, zwężający się ku górze, którego górne zakończenie przybijano dookoła otworu, wyciętego w powale. Do obiecaja zakładano trzy druty, na których wisił krążek żelazny dla umieszczenia palącego się łuczywa. „Świecak“ taki jeszcze w roku 1879 był w powszechnym użyciu w Sokolowie. Bardzo podobny kominek widziałem właśnie w roku ubiegłym na Polesiu Wołyńskim. Składał się on również z obwódki sita obitej workiem, mocno pobielony, z obu stron przybity był do rury drewnianej, uchodzącej pod strych. U spodu, pod drewnianą obwódką wisiła na drutach żelazna, blachą zakratowana ramka do palącego się łuczywa. Za dnia odpinano paleńsko żelazne i obwódkę podciągano do pułapu. W niektórych chatkach świecą w sposób jeszcze bardziej pierwotny, mianowicie: rozniecają łuczywo na niewielkiej skrzynce drewnianej, wypełnionej ziemią.

<sup>1)</sup> Smolne łuczywo sosnowe i stojaki rozpo-  
wszechnione były jeszcze przed laty kilkunastu  
w Suwalszczyźnie, np. w pow. sejneńskim (Prz. Red.).



Prócz tych sposobów oświetlania wewnątrz chat używano w Polsce kaganków glinianych, często o bardzo szlachetnym kształcie, wyrobionych przez miejscowych garncarzy. Rzadziej używano kaganków żelaznych. Kaganki takie wypełnione tłuszczem, w którym zanurzono skręcony kawałek szmaty, dawały wprawdzie światła niewiele, lecz za to bez obawy wzniesienia pożaru można było wychodzić z nimi w obejście. Kilka odmiennych typów takich kaganków, które rozwinęły się dzięki specjalnemu ich przeznaczeniu, przedstawia załączona rycina (p. str. 164). Różnią się one, jak widzimy, przeważnie tylko przystosowaniem do umieszczania samego kaganka, a więc obecnością nóżki lub dnem płaskim, o ile przeznaczone są do stawiania, to znów odmiennym kształtem rączki, jeśli przeznaczone są do zawieszania lub zaczepiania na jakimś przedmiocie. Już po zaprowadzeniu lamp po domach mieszkalnych w miasteczkach, w izbach służebnych używano jeszcze kaganków.

Wspomnieć tu jeszcze należy o świecach z wosku lub łoju, które sposobem domowym od-

lewano po dworach i miasteczkach. Gdziekolwiek na strychu odnaleźć można jeszcze formy do odlewania świec lub staroświeckie lichtarze blaszane z urządzeniem do podnoszenia świecy ku górze, specjalne nożyce do obcinania knota i t. p. Przewrót, jaki dokonało w tej dziedzinie zjawienie się lampy, miał miejsce u nas w drugiej połowie ubiegłego wieku i wypadł w czasie, kiedy ludoznawstwo takimi rzeczami jeszcze się nie interesowało wcale. To też ciekawe przyrzędy i zabytki ginęły bez śladu i dziś z trudem można jeszcze coś odnaleźć i od ostatecznej zagłady ochronić. Należy więc zwrócić baczną uwagę, póki czas jeszcze, w jaki sposób świeci dziś w izbach lud nasz i czy przygodnie nie pozostało co jeszcze z dawnych zabytków. Wyjaśnienie dawnych sposobów świecenia służyć może cennym przyczynkiem nie tylko do scharakteryzowania stanu kultury naszego ludu w czasach ubiegłych, lecz również i do dalej idących wniosków o wpływach i stosunkach pomiędzy sobą ludów dziś dalej od siebie żyjących.



## DWORY, ZAMKI I PAŁACE.

### Sancygniów.



PALAC W SANCYGNIOWIE, POW. PIŃCZOWSKI.

fot. ze zb. P. T. Kr.

(1) W ludnej, przebogatej w zabytki przeszłości i malownicze okolice ziemi krakowskiej,

go dworu została tylko brama wjazdowa ze strzelnicami i ładną attyką, oraz t. zw. „kamienica“, nie-

której dziś część północną obejmują południowe powiaty gub. kieleckiej, nie trudno jest spotkać co krok miejscowość, mieszczącą w sobie cenny dobytek dawnej naszej kultury. Jedną z takich miejscowości, mniej może znanych bo na uboczu nieco leżących, jest Sancygniów w pobliżu Książa i Działoszyc, dawna siedziba Sancygniowskich, później Tarłów i Dębowskich, obecnie Deskurów. Ze stare-



gdys ozdobiona czterema po rogach wieżyczkami, dziś jeszcze zdobna w ładne odrzwia renesansowe i Pilawą na supraporcie. Ale i nowy dom mieszkalny, wzniesiony w stylu włoskim koło roku 1882, podtrzymuje chlubnie tradycję kultury miejscowej, tyłoma węzłami z pobliskim Krakowem związanej.

Bardziej jeszcze obfity w bogactwa dnia wczorajszego jest kościół z ładnym sklepieniem ostrołukowem w prezbiterium, zdobionem na

zwornikach i u podstawy żeber herbami; w nawie sklepienie półkoliste, ułożone z wielkich głazów, drążonych od góry dla zmniejszenia ciężaru. Za wielkim ołtarzem dochowała się piękna renesansowa schówka na oleje z h. Jelita i drzwiczkami żelaznymi o wykwintnym brązowym ornamencie; w kruchcie konfesyjonały z XV w. i pomniki Sancygniowskich, w nawie kilku nagrobków — Dębowskiego, kaszt. czechowskiego, i żony jego Ewy Tarłówny.



W. Piotrowski.

## Przez Kaniowszczyznę.

4)  
(dok.)

Przejechawszy drewniany most, stukając po nierównych, wystających w pośród drogi kamieniach „formacji ogniowej“ — znaleźliśmy się na „Zarosiu“ gdzie mieliśmy sposobność obserwowania miejscowego obyczaju przy grzebaniu umarłych. Po zgonie i zamknięciu powiek trupa obmywają świeżą wodą, aby na sąd Boży stanął czysty, jakby na uroczyste święto przybrany, ubierają go w najlepszą odzież i bieliznę; nieboszczyk leży przepisany prawem czas w izbie przy zapalonych świecach — dokoła wciąż się tłoczą krewni, znajomi i „płaczk“ baby — jeden z obecnych czyta głośno modlitwy i psalmy przez cały czas leżenia nieboszczyka; — na „pokuciu“ stoi stół nakryty białym obrusem i palą się dwie świece woskowe — na stole szklanka z czystą wodą — bochenek chleba i miód w misce dla duszy, która o północy przez 3 dni z rzędu przylatuje pożywiać się...

Opuściłem Bohusław, ruszywszy w dalszą drogą do wsi Dybiniec. Jadący ze mną woźnica mieszczanin opowiadał mi o dziwnym zwyczaju, przy urodzinach dziecięcia obchodzonym. Oto kobieta na trzeci dzień po narodzeniu się dziecięcia odbywa „polewanie“, a mianowicie wyciąga obie dłonie złożone na kształt miseczki — na które leje czystą źródlaną wodę kobieta „przyjmująca“ dziecko; woda ścieka po gołych rękach do zgiętego łokcia i stamtąd do naczy-

nia, podstawionego przez obecne kobiety, które następnie wodę tę wypijają. „Polanie“ kończy się poczęstunkiem wódką i zakąską.

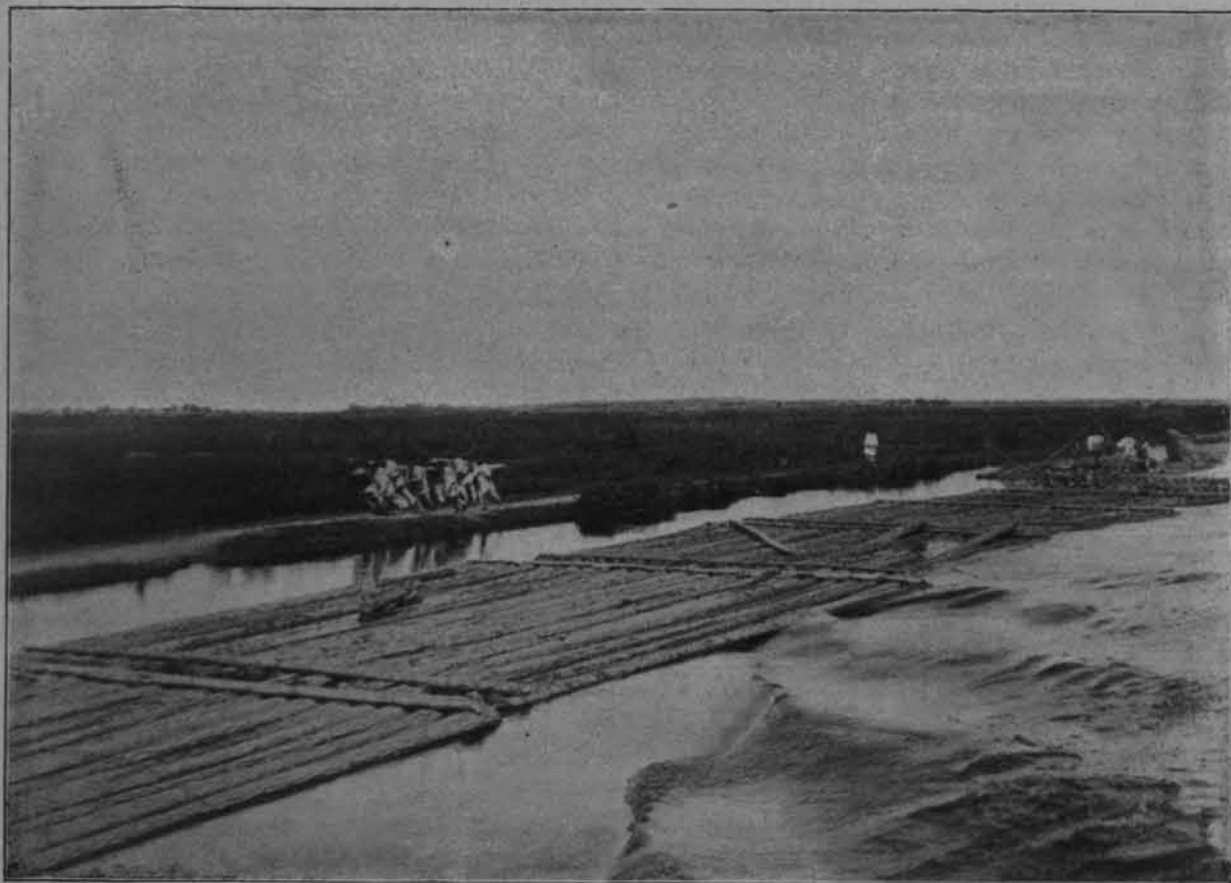
Za Bohusławiem roztaczają się jeszcze piękniejsze, jeszcze wspanialsze krajobrazy — gleba jeszcze więcej żyzna — sioła ukryte w głębokich parowach i jarach. Nieraz oko biegnie, daremnie szukając ludzkiego ogniska: gdzie spojrzysz — jary i góry, wzgórza i doliny płyną falistą linią na widnokręgu — zarośla i pola dalekie i ani się spodziewasz, co cię czeka... Wtem wydajesz okrzyk podziwu i zachwytu: oto stoisz nad brzegiem olbrzymiego jaru — a na dnie jego, jak fata morgana rozścielają się przedziwnie piękne, tonące w sadach i gąszczach sioła z białymi chatkami.

To wieś Isajki, położona na stokach glinianych stromych gór, pokrytych gąszczem drzew i krzaków — w pośrodku rzeczulka Rapiacha — tuż sterczy ogromna mogiła zwana „Makarową górą“.

Takie też jest sioło Dybińce — nad brzegiem Rosi położone — wśród zieleni przylasków i szalenie stromych urwisk ukryte. Na górach — nade wsią sterczy dziesięć mogił, z wysokości których wzrok przez przepyszny widnokrąg mknie kilkanaście mil dokoła.

Dziwnie bogaty, w niezmierny przepych odziany kraj! Jak okiem sięgnąć płyną złote

## Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



HOLOWANIE TRATEW NA PINIE, POW. PIŃSKI.

fol. W. hr. Pustowski.

fale — lanów pańskich — rozpostarły się wąziutkie pasy pólek włościańskich gryki pachnącej, białe, niby rozestane długie szmaty bielonego płótna, zielone ciemne kity prosa, jakby szerokie szmaragdowe pasma, płowe owsy i żyta; — gdzieniegdzie ciemnozielona ściana gęstego czarnolasu wielką plamą kładzie się na widnokręgu; w jarach głębokich, hen! ciągną się siola nieprzerwanym korowodem jedne obok drugich — w środku siół błyszczy jaskrawo na słońcu rzeczulka kręta, wążka z zielonymi brzegami; gdzieniegdzie staw szeroki obsadzony wierzbą, niby duża iskrząca się tafla lustrzana.

Dybińce, posiadając glinę, nadającą się do garncarstwa, słyną też na całej Ukrainie ze swych pięknych wyrobów — i są w Kijowszczyźnie pod tym względem jedną z najpierwszych wsi, nie tylko z powodu największej ilości wyrabianych garnków, ale także z misternej i trwałej roboty garncarskiej. To też zaiste jest to stolica garncarzy. W koło chatek pełno „czerepków” — podwórka zavalone rozbitymi garnkami, kupami gliny białej, drwami; — a nie raz wyziera tuż obok chatki otwór pieca garncar-

skiego. Wewnątrz izba przepelniona nieraz wyrobami, które leżą na ławach, na stole, na półkach pod pułapem (na „piatrach”) — w pośrodku kupa gliny — u okienka garncarz z „kręgiem”. Od mokrej gliny unosi się w powietrzu wilgoć, przesyca ściany i wszystkie przedmioty w izbie. Robotą zajmują się całe rodziny, włączając w to kobiety i dzieci. Narzędzia, używane w garncarstwie, według nazw miejscowych są: „kopanycia” (rodzaj motyki) do wydobywania z jam gliny; „dowbnia” (podobna do „maczugi”) do mieszania gliny, łopaty i motyki; przy wyrabianiu garnków używają dwóch drewnianych noży, przymalowanemu garnków rogówbydlęcych; do zdejmowania uformowanego wyrobu z „kręgu” używa się „drotu”. „Krag”, to najważniejsze narzędzie garncarskie — służy do nadawania potrzebnych form wyrobom. Potem idzie piec („horn”) do wypalania. Zwykle wyroby garncarskie są: garnki, makotry, pokrywy do garnków, miski, dzbany, słoiki, wazony, „kumanci” do wódek (rodzaj karafki), daszki na ule, „durszlaki” (sitka do cedzenia cieczy), imbryki, filiżanki, kwarty a nawet gliniane samowary, „ża-



## TYPY LUDOWE.



Ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

TYPY Z OKOLIC POŁAĞI.

rownie" formy do ciast, „bliźniaki“, kominy na wiejskie chaty, wazy, mleczniki, „ładownice“, skarbonki dla monet („kopiłki“), koniki, ptaszki, koguciki, figurki ludzkie i zwierzęce (zabawki sprzedawane na jarmarkach), lichtarze, popielniczki, kałamarze i t. d. Piece garncarskie wydrążone są w ziemi — zewnątrz spód pieca opatrzone jest żelazną kratą („czeryń“), u góry daszek spięty półkolem w rodzaju kopuły („kłobúk“); do wnętrza pieca prowadzi mały otwór do wstawiania garnków. Krąg garncarski cały jest z drzewa — składa się z trzech części: „główki“ („holówki“), spodu („spidniak“) i wrzeczona („we-retenó“); kręci się (porusza) za pomocą obu nóg. Do „polewania“ garnków używają ołowiu. Gлина bywa w użyciu dwóch gatunków: „ruda“ („glej“) i „garncarska“ („biała“). „Ruda“ znajduje się pół arsz. głębok. pod warstwą czarnoziemu (próchnicy) — garncarska (siwego koloru — czasem czarnego) 8 sążni pod warstwą próchnicy i gliny żółtej. Wydobywają tę ostatnią, kopiąc pionową jamę w kształcie prawidłowego czworoboku do miejsca, gdzie się znajduje warstwa potrzebnej gliny, poczem zmieniają

kierunek na poziomy, nieraz ciągnący się 9—10 sążni wzdłuż. Praca w kopalniach odbywa się zwykle późną jesienią lub zimą, gdyż latem otwór bywa zalewany deszczem. Wejście do kopalni robi się za pomocą schodów wydrążonych motyką w przeciwległych ścianach. Takie przeto zstępowanie na dno kopalni potrzebuje pewnej akrobatycznej zręczności.

O kilka wiorst od wsi leży w dolinie nad zieloną łąką folwark — a na wzgórzu, powyżej nieco — pałac hr. Branickich (hr. Ksawerego) w olbrzymim parku, właściwie lesie przezwanym Turczynem.

Szlak tu już ciągnie się granicą pow. taraszczańskiego, poczem wchodzi do niego za Turczynem, zakreślając trójkąt na zachód ku Taraszczy, gdzie się rozdziela na dwie gałęzie, z których jedna zwraca się na południe przez wieś Baranie Pole i Medwin, — a druga na Taraszcę — Białą Cerkiew — Skwirę — gdzieś na zachód ku Warszawie... Minąwszy Turczyn (las) i wieś Baranie Pole (dawniej według podania naz. Brannem Polem), spuściliśmy się w żyzną „Czerkies — dolinę“, (nazwa ludowa)

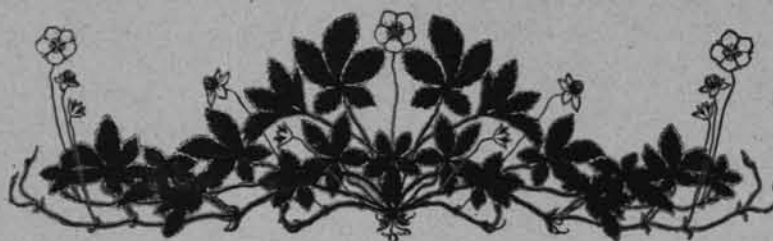
za którą w siedmiu jarach rozsiadł się Medwin, niegdyś gród włodzimierzowy (według podań), ostatni etap naszej wędrówki i kres powiatu kaniowskiego.

Hen! daleko wśród pól „poziaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem...” stoją samotne futory i folwarki w zieleni drzew, bielejąc białymi ścianami dworków i zabudowań gospodarczych.

Dworki te zwykle są pokryte słomianą strzechą o dużych oknach, z dwoma gankami — czasem z werandą, oplataną dzikiem winem. Ganki zwykle mają ściany z desek pionowo

zbitych, z oknami w tak zwanych tu z ruska „paradnych” większymi, często dziesięcio-dwunastoramiennymi (t. zw. weneckie) i z małymi wązkiemi okienkami w tyle dworku — na tak zwanym „czarnym chodzie”. Dworek okolony bywa zwykle przyzbą — wewnątrz i zewnątrz ściany bielone (wapnem lub kredą). Przed domem klomby pełne kwiatów: piwonii ognistej, rezedy, malwy i t. p. W okół bzy pachnące, jaśminy, róże, dalej: klony, jesiony, topole, a gdzieś niedziedzie kasztanowce, akacja żółta i biała.

W dworkach tych chowa się dzisiaj żywioł polski — język i kultura.



Bohdan Dyakowski.

## Ptaki naszych gór.

### 3. OPOCZNIKI.

Gdy mowa o charakterystycznych ptakach drozdowatych, zamieszkujących nasze góry i przedgórze, nie można zupełnie pominąć milczeniem podrodziny pokląsków czyli opoczników (*Saxicolinae*), blisko spokrewnionej ze słowikami (*Lusciolinae*), od których odróżnia je głównie ogon mierny, zakryty w znacznej części (poza połowę) skrzydłami, gdy u słowików skrzydła złożone sięgają najwyżej do połowy ogona.

Wprawdzie najbardziej pospolita i najlepiej znana u nas przedstawicielka tej grupy pokląskwa (*Pratincola rubetra* L.) jest ptakiem wybitnie łąkowo-zaroślowym, trzymającym się sąsiedztwa ludzi i wiosek, a osiedlającym się po ogrodach, na polach uprawnych i łąkach, przede wszystkim na nizinach, znacznie zaś rzadziej w okolicach górzystych i górach; ale zato dwa inne gatunki — kłaskawka, zwana także opocznikiem czarnogłowym (*Pratincola rubicola* L.) i opocznik białorzytka (*Saxicola oenanthe* L.), chociaż zamieszkują nie tylko góry, ale w równej mierze i niziny, jednakże przez swe zamiłowanie do wzgórz, skał i kamieni zasługują na umieszczenie wśród bardziej charakterystycznych ptaków górskich.

Kłaskawka jest to mały ptaszek (długości 12 cm.), nie o wiele co większy od naszych karzełek ptasich — mysikrólika i strzyżyka; opierzeniem odznacza się dość pstrem: ma mianowicie grzbiet czarniawy z rudawym upstrzeniem, spód ciała, jak również i kuper rudawy; ogon brunatny, a skrzydła czarniawe z białą przepaską. Samiec ma głowę i szyję czarne, boki szyi białe; samica — głowę i podgardle pstre tak samo jak i grzbiet.

Kłaskawka ma znacznie bardziej ograniczony obszar rozmieszczenia od najbliższej swej krewniaczki — pokląskwy, należącej wraz z nią do jednego rodzaju *Pratincola* Koch.: gdy pokląskwa pospolita jest na całym obszarze ziem polskich, kłaskawki niema wcale na Litwie, Białej Rusi i nad Bałtykiem, w innych zaś dzielnicach jest ptakiem nielicznym i dość rzadkim. Okazuje przytem odmienne upodobania i na miejsce pobytu obiera sobie nie łąki i pola, lecz okolice górzyste lub wzgórkowate. W Galicyi na przedgórzach jest też bardziej pospolita niż w Królestwie, gdzie znajduje się wyłącznie w skalisto-wzgórkowatym południowo-zachodnim kącie między Częstochową, Kielcami, Sandomierzem a południową granicą, najobficiej koło Ojcowa, a więc w tych samych stronach,

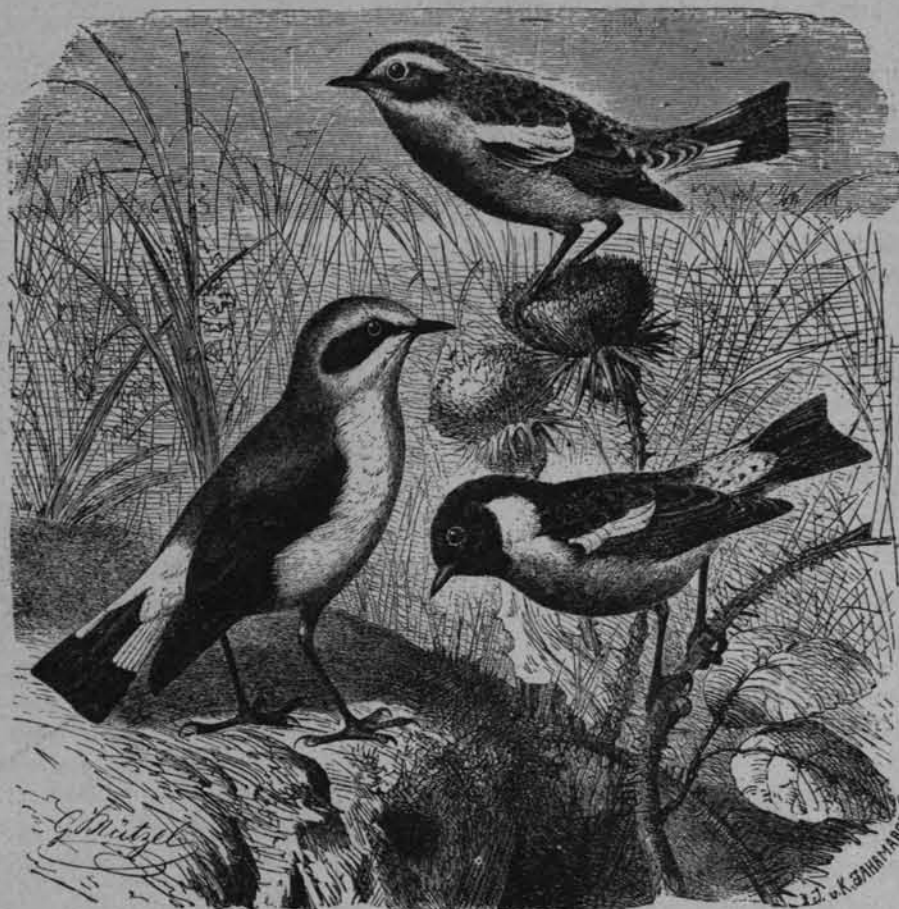
które zamieszkują dwa wyraźnie górskie ptaki—kopcuszek i drozd skalny.

Ale pomimo wyboru odmiennych miejsc na pobyt, ma jednak dużo wspólnych cech obyczajowych z pokląskwą: jest tak samo przelotna i tak samo przebywa wyłącznie w miejscowościach, porośniętych niskimi krzakami i zaroślami, z tą tylko różnicą, że nie na równinach lecz na wzgórzach; pod krzaczkami też, najczęściej jałowcowym, ściele dość wielkie gniazdo z mchu i ziół suchych, podobnie jak tamta jej krewniaczka. I z zachowania się przypomina ją także: tak samo ruchliwa, skacze i biega po ziemi, wyszukując na niej żeru, — różnych drobnych owadów lub gąsienic; od czasu do czasu siada

na krzaczku lub kamieniu, ogląda się bacznie na wszystkie strony, a gdy dostrzeże pożądaną zdobycz na ziemi, zlatuje natychmiast, porywa ją i znów wraca na punkt obserwacyjny, albo też prowadzi dalej poszukiwania, biegając szybko i zwinnie. Względem ludzi płochliwa i ostrożna, kłaskawka z innymi drobnymi ptaszkami utrzymuje stosunki przyjazne, a przynajmniej obojętne, chociaż naogół nie odznacza się zbyt towarzyskim usposobieniem. Śpiewa mało urozmaicenie i z ciągłymi przerwami, ale czysto i przyjemnie.

Bardziej wyraźnie górski charakter posiada białorzytka (*Saxicola oenanthe* L.), jedyna nasza przedstawicielka rodzaju *Saxicola* Bechst., do którego należy między innymi tak czysto górski gatunek, jak *Saxicola leucure*, zamieszkujący wyłącznie góry, ale... nie u nas, lecz w Hiszpanii i innych południowych krajach naokoło morza Śródziemnego.

Nasza białorzytka nie trzyma się tak wyłącznie gór. Przeciwnie, znajduje się ona na całym obszarze Polski, zarówno na nizinach jak w górach i przedgórzach; jest też nie mniej



Pg. Brehma.

OPOCZNIK BIAŁORZYTKA (*SAXICOLA OENANTHE* L.) (lewa), POKŁASKWA (*PRATINCOLA RUBETRA* L.) (górna) I OPOCZNIK CZARNOGŁOWY CZYLI KŁASKAWKA (*PRATINCOLA RUBINCOLA* L.) (prawa).

pospolita od pokląskwy, chociaż nie tak liczna, ale w wyborze miejsca na pobyt okazuje wybitnie górskie gusty: osiedla się mianowicie wyłącznie tam, gdzie może znaleźć jeśli nie skały lub ściany wysokich parowów, to przynajmniej waly kamieni, stare mury, a w ostateczności kupy gałęzi lub stopy drzewa. A że prawie w każdej okolicy znajdzie się coś takiego, to też i białorzytkę spotkać można prawie wszędzie; jak dowcipnie wyraził się Brehm „łatwiej wymienić miejscowości, gdzie jej niema, niż wyliczyć te, gdzie ona się znajduje“.

Jednakże bądź co bądź pospolitsza jest w okolicach górzystych a przynajmniej pagórkowatych, skalistych i kamienistych niż na gładkich równinach; w stronach dzikich i mało zaludnionych osiedli się chętniej, niż w bardziej cywilizowanych, obfitujących we wsie i miasta, a więc wręcz przeciwnie niż nizinna pokląska a nawet górski kopcuszek, poszukujące sąsiedztwa ludzi. Jednakże i białorzytka nie unika ich zupełnie: w ostateczności osiedla się także po składach drzewa na skrajach miast lub wsi, zupełnie tak jak kopcuszek. W górach spotkać ją można



u kresów roślinności, na skalistych turnicach, W Alpach Brehm widywał białorzętki w pobliżu wiecznych śniegów i lodowców; w Tatrach nie zachodzą tak wysoko: według Kocyana spotkać je tam można jedynie do wysokości 1200 metrów.

Ptaszek to większy od obu poprzednich, wielkości pośredniej między wróblem a skowronkiem (dł. 17 cm.), budowy dość smukłej, na miernie wysokich nogach, z dość długimi skrzydłami i krótkim, szerokim, równo przyciętym ogonem, mało wystającym z pod skrzydeł, jak zresztą u całej podrodziny Saxicolinae.

Upierzenie ma nie barwne, ale z powodu kontrastu kolorów rzucające się w oczy i nadzwyczaj efektowne, wierzch jest szaro-popielaty, skrzydła czarne, czoło i brwi białe, przez każde oko czarna smuga, ogon biały z czarnym końcem i dwiema czarnymi sterówkami we środku; spód rudawo-ławy. U samca różne te barwy odcinają się jaskrawiej i wyraźniej, u samicy przeważa ogólny ton rudawo-szary a barwy biała i czarna występują mniej czysto.

Może w związku z tem rzucającem się w oczy ubarwieniem pozostaje nadzwyczajna płochliwość i ostrożność tego ptaszka, który jak gdyby wiedząc o tem, iż jest tak łatwy do zauważenia, ma się wciąż na baczności i zachowuje się tak ostrożnie, iż nadzwyczaj trudno podejść do niego nieco bliżej.

Ale ta ostrożność nie polega na ukrytym sposobie życia i cichem, spokojnem zachowaniu. Przeciwnie, białorzętka jest nadzwyczaj ruchliwym ptaszkiem, który ani jednej chwili nie może pozostać w spokoju: biega szybko, podskakując wysoko, potrząsając ogonem i skrzydłami i zbierając z ziemi różne owady; co chwila przytem podrywa się w pogoni za jakimś latającym owadem, aby zaraz potem znów opaść na ziemię i znów wzlecieć do góry i błysnąć białością ogona, który wtedy jeszcze wyraźniej rzuca się w oczy.

Lata bardzo dobrze, ale zazwyczaj leci nisko tuż prawie nad ziemią i nie długo, poczem siada na kamieniu lub występie skalnym, bardzo rzadko i tylko wyjątkowo na gałęzi, i stamtąd ogląda okolicę, czy nie dostrzeże gdzie czegoś godnego uwagi lub podejrzanego. Ale i w czasie tych oględzin i chwilowego spoczynku również nie zachowuje się zupełnie spokojnie, lecz bez ustanku kręci ogonem i potrząsa skrzydłami.

Jeśli dostrzeże owada, puszcza się za nim natychmiast w pogoń, a umie go dosięgnąć

i schwytać nawet w locie nie gorzej od kopcuszka.


Jeśli zauważy jakieś niebezpieczeństwo, naprzykład człowieka, to zaczyna umykać, a że ma dobre i nogi i skrzydła, korzysta więc z obojga: to przebiegnie pieszo kilkadziesiąt kroków, to znów część drogi przeleci na skrzydłach, ale ciągle się zatrzymuje, siedzi na kamieniu lub bryłach ziemi, ogląda się, czy jest ścigany, i znów umyka dalej, trzymając się zawsze w przyzwolonej odległości od domniemanego nieprzyjaciela.

Gdy mu przyjdzie chęć śpiewać, i wówczas także nie traci zwykłej ruchliwości, jak np. słowik, cały przejęty swą sztuką. Białorzętka i wtedy kręci się i wierci bez końca, wykonuje rozmaite skoki i zwroty na ziemi, wlatuje od czasu do czasu niezbyt wysoko w powietrze z rozpostartymi skrzydłami i ogonem i znów opuszcza się na ziemię. Widocznie te wszystkie taneczne lotnicze popisy zajmują ją nie mniej od samego śpiewu. Ale bo też i śpiewak z niej nie najświetniejszy: głos ma nawet dość przyjemny, ale niezbyt urozmaicony i chrapliwy.

Z usposobienia wielki to samotnik i klótnik i nie tylko unika towarzystwa innych drobnych ptaszków, ale wszczyna zwadę, gdy się spotka z nimi. Nawet z innymi białorzętkami nie umie żyć w zgodzie i wprawdzie zdarza się czasami, że dwie pary tych ptaków gnieźdzą się obok siebie, ale też wtedy słychać wciąż wśród nich nieustanne piski, swary, zaczepiania i odpędzania się wzajemnie. Jedynie w czasie przelotów wiosennych i jesiennych białorzętki łączą się rodzinami w większe gromady, w skład których wchodzi nieraz także i przedstawiciele innych pokrewnych gatunków lub rodzajów, mających również odbyć tę samą wędrówkę.

Gnieźdzą się, jak przystało na takich amatorów skał i kamieni, przedewszystkiem w szczelinach skalnych, kupach kamieni, lub dziurach ziemnych, przyczem umieszczają gniazdo nieraz na stopę (30 cm.) głęboko w ziemi. W ostateczności, gdy los je zapędzi gdzieś w bliższe sąsiedztwo lasów lub ludzi, i nie mogą znaleźć ulubionych kamieni, gnieźdzą się w niskich dziuplach, stosach drzew a nawet w strzechach.

Gniazda robią z suchych traw i mchu, wyscielają je suto i miękko sierścią, puchem oraz włóknami roślinnymi. Jajka wysiaduje prawie wyłącznie samica. Ale nie można zarzucić żadnemu samcowi obojętności względem potomstwa, przez cały czas bowiem wysiadywania jaj przez samice przebywa on ciągle w pobliżu gniazda,



stróżując go w dosłownym znaczeniu tego wyrazu, ostrzegając samiczkę o każdym niebezpieczeństwie i starając się odstraszyć lub odcią-

gnąć każdego nieprzyjaciela. A gdy młode już się wyklują, oboje rodzice karmią je i pielęgnują z jednakową pieczołowitością.



Jan Oziębłowski.

## Promieniotwórczość a wiek ziemi.

(Wg. pracy J. Danysza „L'Action“).

Z powodu swego ogromu, graniczącego prawie z fantastycznością, wiek ziemi przez długi czas nie poddawał się określeniu za pomocą dostępnych środków badawczych. Znakomity angielski fizyk lord Kelvin spróbował go zmierzyć na podstawie miary ochładzania się ziemi i oszacował go w przybliżeniu na sto milionów lat. Do końca ostatniego wieku liczba ta pozostawała jedyną, którą można było seryo brać pod uwagę; w tym właśnie czasie pierwszorzędnej wagi odkrycia w dziedzinie promieniotwórczości wykazały na naszej planecie źródła ciepła, o jakich lord Kelvin nie miał pojęcia: pierwiastki promieniotwórcze, nadzwyczaj rozpowszechnione na ziemi, aczkolwiek w stanie niezmiernego rozcieńczenia, wytwarzają ilość ciepła, wystarczającą do pokrywania strat ciepła przez ochładzanie się; odkrycia te zmusiły więc do odrzucenia teorii angielskiego uczonego, ale na szczęście dostarczyły nam jednocześnie innej metody określenia wieku ziemi, zarazem bardziej bezpośredniej i pewniejszej.

Wielka trudność tego zadania polega na znalezieniu zjawiska, w mechanizmie którego czas zapisywałby się sam przez się w taki sposób, iż każdy rok upływający pozostawiałby na przyszłość swój niezatarty, a łatwy do odcyfrowania ślad. Otóż dzięki promieniotwórczości poznaliśmy takie zjawisko, zachodzące samodzielnie wszędzie, gdzie się znajdują substancje promieniotwórcze, przede wszystkim zaś — w kruszczach radu.

Dzięki doniosłym pracom chemicznym obecnie zostało niezbitnie dowiedzione, iż rad rozpada się powoli, zamieniając się ostatecznie na ołów i hel (najlżejszy gaz po wodorze). Ten samorzutny rozkład radu jest nadzwyczaj powolny (rad potrzebuje około 2000 lat, aby się zmniejszyć o połowę), do tego stopnia, iż w ciągu całego życia ludzkiego strata na wadze, jaką ponosi próbka radu, nie daje się zmierzyć. Inaczej jednak rzecz się przedstawia, gdy się przyjmie pod uwagę ogromne czasy trwania epok geologicznych: po milionach lat, w ciągu których trwał rozkład radu, powinienby on być zupełnie zniknąć z naszej kuli ziemskiej, chociażby ilości jego w czasie stwardnienia skorupy ziemskiej były najznaczniejsze. By zrozumieć fakt obecnego istnienia radu, należy koniecznie przypuścić, iż powstaje on ustawicznie na nowo. Otóż zauważono,

że we wszystkich kruszczach radu zawsze istnieje uran, który jest także jednym z ciał promieniotwórczych; przypuszczano, iż to uran właśnie produkuje rad; ściśle badania wykazały, że hipoteza ta ma wszelkie cechy faktu.

A więc, — i to właśnie jest rzecz zasadnicza — uran, obecny w kruszczach promieniotwórczych, rozkłada się samodzielnie, dając ostatecznie początek helowi i ołowiu. Zanikanie zaś uranu odbywa się niesłychanie powoli nawet w stosunku do epok geologicznych: obliczono, iż do zmniejszenia się o połowę, potrzebuje około 6 miliardów lat, tak, że niema potrzeby już dalej badać, w jaki sposób uran powstaje.

Bardzo ściśle obliczono, że jeden gram uranu daje w ciągu roku jedną dziesięciomilionową centymetru sześciennego helu i jedną dziesięciomiliardową gramu ołowiu. Ażeby się dowiedzieć, jak dawno stwardniała skala promieniotwórcza, wystarczy więc określić, wiele uranu, helu i ołowiu zawiera. Dzieląc ciężary tych dwóch ostatnich przez ciężar uranu, znajdziemy całkowitą produkcję helu albo ołowiu przez jeden gram uranu, dzieląc zaś jeszcze raz znaną liczbę przez ilość helu czy ołowiu, produkowanego w ciągu roku, znajdziemy ostatecznie liczbę lat, w ciągu których odbywało się nagromadzenie tych pierwiastków, to jest właśnie wiek skały.

W ten sposób zbadano bardzo wielką liczbę skał i okazało się, jak tego można się było spodziewać, że najstarsze z pomiędzy nich są to właśnie te, które pochodzą z najbardziej odległych epok geologicznych. Do określenia wieku ziemi, wybrano najstarsze z istniejących skały, które powinny były uformować się w chwili, gdy powierzchnia ziemi dopiero zaczynała twarzenie. Liczby znalezione bardzo się różnią zależnie od tego, czy były określone na podstawie helu, czy też — ołowiu: ta, którą wprowadzono z ilości helu, wynosi 700 milionów lat; obliczenia zaś na podstawie ilości ołowiu dały 1½ miliardów lat. Różnica ta wynika prawdopodobnie stąd, że pewna część powstałego helu powinna była zniknąć ze skały, w której podlegał on olbrzymiemu ciśnieniu wielu setek atmosfer. Z tego punktu widzenia liczba, stosująca się do ołowiu, jest pewniejsza.

Zagadnienie, jak widzimy, nie jest jeszcze rozwiązane w sposób ostateczny.

Lecz osiągnięte już rezultaty posiadają wielką wartość dzięki temu, że prędkość przeistoczeń uranu w hel i ołów jest zupełnie niezależna od warunków zewnętrznych, w których kruszec może się znajdować: istotnie, doświadczenia Piotra Curie wykazały, iż niema możliwości zmienić chociażby odrobinę prędkości rozkładu samodzielnego ciała promieniotwórczych za pomocą dostępnych nam środków: pogrążone w cieple powietrze albo ogrzane do temperatury pieca elektrycznego ciało promieniotwórcze zanika zawsze z jednakową prędkością, tak, że się ma pełne prawo przypuścić, iż w ciągu wielu milionów lat produkcya helu i ołowiu w kruszcach promieniotwórczych odbywa się z tą samą szybkością — oraz, jak to stąd wynika, że ilość tych ciał, która się tam nagromadziła, jest ścisłą miarą ubiegłego czasu.

Wiek ziemi i bezwzględny czas trwania epok geologicznych były, jak wiadomo, przedmiotem po-

lemiki między fizykami z jednej, a geologami i biologami — z drugiej strony. Liczba Kelvina pozostawała w sprzeczności z wnioskami petrografii doświadczalnej (mianowicie, z rezultatem badań G. Bischopha nad stygnięciem bazaltu), geologii, paleontologii i teorii stopniowego rozwoju świata organicznego. Dlatego też właśnie przytaczano ją niekiedy, jako dowód przeciw teoryom geologicznym i biologicznym, niektórzy zaś zwolennicy teorii mutacyi usilowali ukuć z niej argument na swoją korzyść. Chociaż oddawna już słuszenie wskazywano, iż obliczenia Kelvina wymagają sprostowań, okres zaś 100 milionów lat jest stanowczo za mały nawet z punktu widzenia samej geofizyki (np. M. Naumayr, *Erdgeschichte*, I, 1897, s. 127), jednakże liczba Kelvina tak się utarła w literaturze, że była (i nawet jest obecnie) często podawana za coś pewnego.

Z tego względu bardzo ciekawym a ważnym wydaje mi się fakt obalenia wywodów Kelvina przez badania promieniotwórczości i potwierdzenia przez nie wniosków geologii i teorii powolnego, stopniowego rozwoju.

o o o o o o o o o

## Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



Marcowe zebranie miesięczne odbyło się dn. 5 marca w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Liczba słuchaczy była tym razem znacznie mniejsza, z rozporządzenia bowiem władz administracyjnych prawo wstępu mieli tylko członkowie Towarzystwa. Rodziny członków, ani wprowadzeni goście nie byli wpuszczeni na salę. W zastępstwie prezesa Towarzystwa, zajętego na posiedzeniu Komitetu budowy własnego gmachu, zajął posiedzenie wiceprezes Al. Janowski, dając po odczytaniu protokołu sprawozdanie z działalności Zarządu, a mianowicie: członków nowych przyjęto 61, zalegalizowano Oddział w Błoni, zdecydowano gromadzić materiał ilustracyjny do zamierzonej monografii Kieleckiego i Radomskiego, do narad w sprawie domu turystycznego w Zakopanem delegowano członka-korespondenta Tow. dyrektora Kopere, otrzymano w darze duży komplet książek a nadto 40 rb. na koszt przesyłki dubletów do oddziałów prowincjonalnych od p. M. Chmielińskiego z Rygi.

Następnie prezes Oddziału Grójeckiego dr. Stan. Czekanowski wygłosił odczyt o krainie jezior (Mazury Pruskie). Prelegent skreślił najpierw historię tej dzielnicy, później życie ludu polskiego, miasta i wsie, stosunki narodowościowe, przypuszczalną przyszłość tego kraju. Liczne dobrane ilustracje uzupełniały odczyt, zakończony słowami zachęty do wycieczek na Mazury Pruskie. Odczyt był bardzo interesujący i cenny. Na zakończenie przewodniczący zawiadomił o najbliższych projektowanych wycieczkach.

Wyszedł z druku Tom VI Rocznika Pol. Tow. Krajoznawczego, zawierający szczegółowe sprawozdanie z działalności Towarzystwa w r. 1912.

Ze względu na b. znaczne koszty, związane z wydawnictwem roczników poprzednich, obecny został znacznie skrócony, co dało się osiągnąć dzięki streszczeniu poszczególnych sprawozdań, nadesłanych przez oddziały Towarzystwa, oraz ułożeniem materiału według ujednostajnionego dla wszystkich oddziałów i wydziałów szematu.

Umieszczony na czele Rocznika ogólny rzut oka na działalność Towarzystwa w roku ubiegłym charakteryzuje w następujący sposób główne strony tej działalności.

Krocząc naprzód w kierunku, wytkniętym przez lata ubiegłe, Towarzystwo Krajoznawcze w roku sprawozdawczym ujawniło niestabnące napięcie w swej działalności.

Zanotować należy następujące objawy tego napięcia. W dziale ogólnej organizacyi Towarzystwa — zebrany i wydany został zbiór uchwał, powziętych przez zjazdy delegatów oddziałowych za cały czas istnienia Towarzystwa (lata 1907—1912). Przeprowadzona została gruntowna reorganizacya instytucyi członków-korespondentów. Reorganizacya ta znalazła swój wyraz w przeprowadzeniu ankiety dotyczącej ogólnej działalności tej kategorii członków, w opracowaniu nowego regulaminu i mianowanie nowych korespondentów we wszystkich powiatach Królestwa Polskiego. Ogólna liczba korespondentów w końcu roku sprawozdawczego wynosiła 160 osób. Członków czynnych przybyło na liście Centrali 396, w Oddziałach zaś 490, razem więc liczebność Towarzystwa w porównaniu z rokiem ubiegłym wzrosła o 886 członków.

Do istniejących dawniej 20 Oddziałów przybyły



dwa nowe: Ostrołęcki i Wieluński (zalegalizowany jeszcze w r. 1908 lecz z powodu bezczynności zwinęty w 1911 r., obecnie zaś wskrzeszony na nowych podstawach). Natomiast Oddział Kutnowski, zalegalizowany w r. 1911, w r. 1912 działalności swej nie ujawnił.

Pogłębiona została działalność naukowa Tow.: studia fizyograficzne prowadzone były przez delegatów na terenie Kujaw, Zamojszczyzny, Gór Świętokrzyskich, Polesia i na wybrzeżach Bałtyku.

Opracowane zostały zbiory archeologiczne oddziałów: Kujawskiego i Kieleckiego. Znaczna część prac tych ogłoszona zostanie w druku na łamach XXI tomu Pamiętnika Fizyograficznego, który w najbliższym czasie ukaże się już pod firmą Towarzystwa Krajoznawczego.

Poza tem działalność wydawnicza przybrała w roku sprawozdawczym niebywałe dotychczas rozmiary: zaznaczył się znaczny przyrost czytelników „Ziemi”, na ukończeniu jest I tom „Materiałów do geografii ziem dawnej Polski”, rozpoczęto „Przewodnik po Królestwie Polskiem”, (część I: Kieleckie i Radomskie) w opracowaniu St. Thugutta, oraz „Bibliotekę Krajoznawczą dla ludu” w opracowaniu Al. Janowskiego.

W dziale zbiorów olbrzymi postęp rok ubiegły zaznaczył w przyroście materiałów fotograficznych — dzięki pomyślnie przeprowadzonej wystawie „Krajobraz Polski”. Doprowadzone do wzorowego porządku zbiory fotograficzne Towarzystwa zajmują obecnie niewątpliwie jedno z pierwszych miejsc na ziemiach polskich — w niektórych zaś działach nie mają równych sobie.

Poza tem z rocznika tego dowiadujemy się, że Tow. liczy: 4 członków honorowych, 12 czl. popierających, 160 korespondentów i 4509 czynnych.

W dziale sprawozdań z wycieczek krajoznawczych dowiadujemy się, że w r. 1912 przyjęło w nich udział 6,958 osób.

Wzrost zaś ruchu wycieczkowego za ubiegłe sześćdziesiąt lat ilustrują następujące liczby:

w r. 1907 w wycieczkach brało udział		659 osób
1908	"	1250 "
1909	"	4156 "
1910	"	4876 "
1911	"	6963 "
1912	"	6958 "

Poza ogólnem sprawozdaniem z działalności Towarzystwa w roczniku tym znajdujemy.

1. Listę członków Centrali i wszystkich oddziałów.
2. Sprawozdanie z zebrań miesięcznych.
3. " z rozwoju i działalności biblioteki.
4. " z Komisji Fizyograficznej.
5. " fotograficznej.
6. " muzealnej.
7. " do spraw oddziałów Towarzystwa.
8. " popularyzacji krajoznawstwa.

9. Sprawozdanie z Komisji wycieczkowej.
10. " " wydawniczej.
11. " Sekcji miłośników gór.
12. " " " Warszawy.
13. " z wystawy „Krajobraz Polski”.
14. " z wydawnictwa dzieł W. Nałkowskiego.

W dziale naukowym rocznik zawiera pracę członka-korespondenta z Miechowa St. Czarnowskiego p. t. Zabytki przedhistoryczne we wsi Iwanowice. Rocznik rozsyłany jest wszystkim członkom Towarzystwa darmo, do nabycia zaś jest w kancelaryi Towarzystwa po 20 kop. za egzemplarz.

× W dalszym ciągu jako dar gwiazdowy na Dem Krajoznawczy złożyli: T. Wolski rb. 2.—, M. Markowska 1.—, St. Łącki 1.—, S. Dziubałowski 1.—, A. Plonkiewicz 1.—, H. Polamin 2.—, T. Lampe 20.—, L. Krauze 1.—, K. Augustowicz 2.—, M. Wawrzeńczycki 1.—, dr. B. Gepner 6.—, St. Pronaszko 2.—, J. Falkowska —50, B. Markiewicz 1.—, T. Buczyński 5.—, J. Herlainie 4.—, Składowski —50, W. i J. Olszewiczowie 5.—, J. Gorzechowski 3.—, Oskar Scheller 50.—. Uczennice kl. VI pensyi A. Walickiej (zamiast powinszowań p. K. Kulwieciowi) 5.70, Ignacy Downarowicz 3.—.

o o o o o o o o o o

## Ze stowarzyszeń.

III Sprawozdanie Akademickiego Związku Sportowego w Krakowie (za rok 1911—12) ujawnia stały, szybki nawet rozwój sympatycznego stowarzyszenia.

Majątek Towarzystwa wzrósł w ciągu trzech lat ze 105.40 kor. do 3.150.71, obrót kasowy z 909.31 do 27.574.80, ilość członków z 65 do 277; — dzięki przyznanej po raz pierwszy w 1912 r. zapomocy ministerium oświaty 500 kor. i życzliwej pomocy Senatu Akademickiego, a zwłaszcza dzięki coraz żywшему uznaniu, jakim cele związku cieszą się w kołach młodzieży dalszy rozwój zapowiada się b. pomyślnie. Oprócz Zarządu Głównego, kierującego ogólnym biegiem spraw Towarzystwa rozwijają się sekcje: narciarska, wioślarska, tenisowa, piłki nożnej i fotograficzna; organizowana jest poza tem przy pomocy władz wojskowych nauka strzelania, a dzięki poparciu Senatu Akad. są widoki uzyskania własnego parku sportowego. Słabo natomiast rozwija się turystyka, na co dość gorzko utyskuje sprawozdanie Zarządu. Istotnie jest to rzecz wprost niepojęta. U nas — w Królestwie — tłomaczy się, i słusznie, zawsze nie dość jeszcze żywy rozwój turystyki brakiem odpowiednich dogodnych urządzeń w bardziej głuchych zakątkach kraju, oddaleniem piękniejszych okolic od stolicy, brakiem jakiegokolwiek zresztą zachęty i ułatwień ze strony czynników miarodajnych. Ale czem można wytłomaczyć „ospałość i gnuśność pod tym względem młodzieży aka-



demickiej w Krakowie\*? (cytujemy słowa własne sprawozdania). Czyżby nie uznawano, że piłka nożna, tennis i wioślarstwo są, mogą i winny być niejako szkołą tylko i przygrywką do sportu bardziej szlachetnego, głębiej i poważniej sprawę odrodzenia duchowego ujmującego — do wędrówek, mających na celu poznanie, życie się z pięknnością natury ojczyzny? Czy nie należałoby wyteńczyć więcej sił, rozwijając żarliwszej propagandy celem zyskania liczniejszego zastępu zwolenników tej myśli — tak prostej, tak może nawet oklepanej, ale, niestety, tak zawsze jeszcze w dziedzinie niedoścignego ideału pozostającej? Nie wątpimy, że takie lub zbliżone do takich poglądy panują w łonie samego Zarządu Zw. Sportowego, czego dowodem może być wyteżona działalność w kierunku pozyskania własnego domu turystycznego w Zakopanem. Do tej sprawy, ciekawej i ważnej, powrócimy jeszcze niebawem.

oooooooooooo

## Kronika krajoznawcza.

Dowiadujemy się, że nakładem księgarni Hartlebena w Wiedniu wydanie w maju ilustrowany niemiecki „Przewodnik po Galicyi”. Układ jego systemem Baedekera przeprowadzi podróżnika po Galicyi śladem linii kolejowych; wstęp, zawierający ustępy o kraju, jego ludności, zabytkach, historii, przyrodzie i wskazówki dla turystów, dotyczące warunków podróżowania po kraju, zajmie stron 40, sam zaś opis Galicyi stron dwieście. Całość zdobić będzie 100 ilustracji, przedstawiających najpiękniejsze budynki miast, zamki i pałace, widoki Tatr i Karpat, Podola, typy ludowe i t. p. Nadto dodana będzie do wydawnictwa mapa Galicyi, mapka Tatr, oraz plan Lwowa i Krakowa.

Nad wydawnictwem czuwa komitet, zawiązany w Wiedniu, w skład którego wchodzi: ks. Marya Lubomirska, dr. Juliusz Twardowski, radca sekcyjny ministerium dla Galicyi, Maurycy Band, red. czasopisma „Fremdenverkehr” i Mr. J. A. Koperski.

Po wyczerpującej konferencji, odbytej w lokalu kraj. Związku zdrojowisk we Lwowie, przez

d-ra Twardowskiego i red. Banda z szeregiem lwowskich turystów i krajoznawców powierzono redakcję Przewodnika dr. Mieczysławowi Orłowiczowi, prezesowi Akad. Kl. Turystycznego i redaktorowi „Naszej turystyki” — oraz dr. Romanowi Kordysowi, prezesowi Karpackiego Tow. Narciarzy i b. redaktorowi „Taternika”, którzy tworzą równocześnie prezydium Sekcji Turystycznej kraj. Związku zdrojowisk.

Redaktorowie „Przewodnika” upraszają za naszym pośrednictwem wszystkie czynniki interesowane, a zatem zarządy miast, zakładów kąpielowych, właścicieli hoteli, restauracji, pensjonatów i t. p., a nadto posiadaczy zdjęć fotograficznych, o nadsyłanie odnośnych wiadomości najpóźniej do 15 marca pod adresem dr. Mieczysława Orłowicza, Lwów, ul. Romanowicza 9, (Zw. zdr.).

Chcąc wszystko obejrzeć na miejscu, zaczyna równocześnie z ramienia wydawnictwa objazd Galicyi p. Włodzimierz Antoniewicz, sł. fil. Objędzie on w ciągu miesiąca wszystkie miasta Galicyi od Białej po Husiatym, celem naocznego przekonania się o wyglądzie i stanie hoteli, restauracji, fiaków i t. p. i zebrania jak najbardziej autentycznych danych na miejscu.

Ciesząc się, że podróżujący po Galicyi cudzoziemcy otrzymają nareszcie dziełko, przedstawiające im piękno i stosunki krajowe we właściwym świetle, pozwalamy sobie zapytać się, kiedy i czyim nakładem ukaże się „Przewodnik po Galicyi”, przeznaczony dla podróżujących — choćby przypadkiem — po tym kraju Polaków?

oooooooooooo

## Odpowiedzi Redakcyi.

*Panu Cz. Rawicz Karwowskiemu:* Mapa Bazewicza; mapki Liebenov-Ravenstein, sekcya 80 kop. (u Gebethnera i Wolffa); niebawem wydanie mapa Królestwa dla samochodów Warsz. Klubu Automobilistów.



**TREŚĆ:** *R. Mieniaki* — Z przeszłości województwa połockiego. *Eugeniusz Frankowski* — Jak lud nasz oświetlał chaty (z 10 ryc.). *t.* — Sancygniów. *W. Piotrowski* — Przez Kaniowszczyznę (dok.). *Bohdan Dyakowski* — Ptaki naszych gór (z 1 ryc.). *Jan Oziębłowski* — Promieniotwórczość a wiek ziemi. — Z Polsk. Tow. Krajoznawczego. — Ze stowarzyszeń. — Kronika krajoznawcza. — Odpowiedzi Redakcyi. — Poza tekstem: Wydmy nad Niemnem pod wsią Mizerami (koło Druskienik), pow. sejneński. Holowanie tratw na Pinie, pow. piński. Typy z okolic Połagi.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i łątał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.